

SZCZUTEK

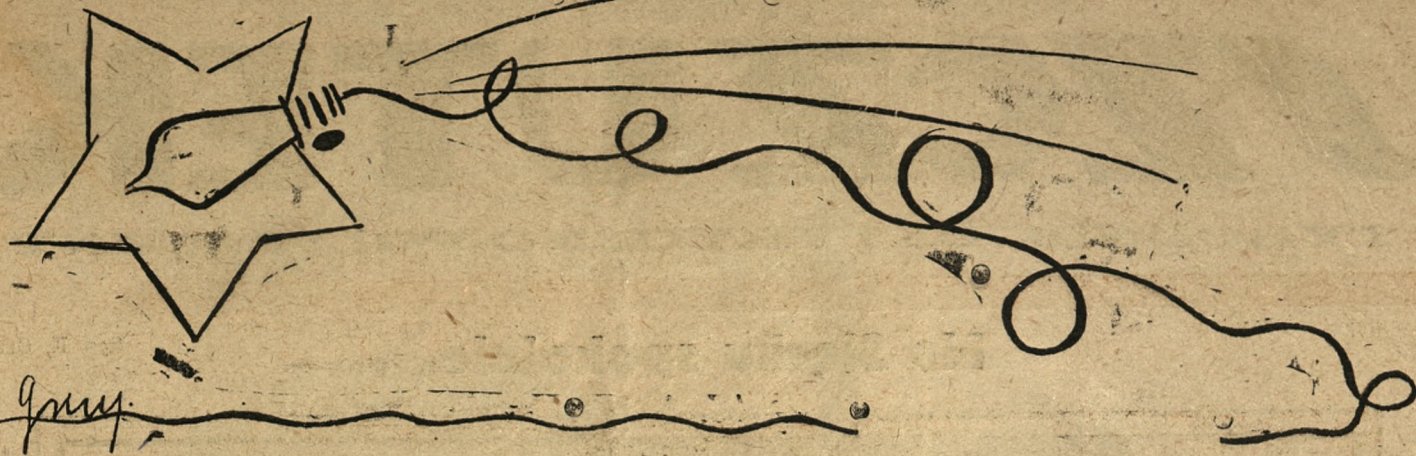
TYGODNIK SATYRYCZNO-POLITYCZNY

Na Śląsku spokojnie.

Rys. K. Grus



Wedle relacji pism niemieckich, w części Śląska, przyznanej Niemcom, panuje zupełny spokój. Nawet członkowie „Orgeschu” powrócili wszyscy do swoich domowych zajęć.



Kołowaczna sejmowa.

Przesilenie trwa jak mur,
Nikt już z nas nie widzi końca.
Czy choroba to, czy dur
Z lipcowego zrodzon słońca?

Zaogniony postów mózg,
Szerzy się kołowaczna,
Czyż nie znajdzie żadnych różg
Na dziateczki swe ojczyzna?!

Na kobierzec strojny w kwiat,
Choć to może nieuprzejmie,
Jabym po kolei kładł
Prowodyrów partji w sejmie,
Za uczynków wieczny błąd,
Za rzucane matce ciernie,
Staropolski, twardy sąd
Pisałbym na sempiternie.

Czego nie rozumie łeb
Ona pewnie by pojęła:
Że kto kłóci się, ten kiep,
Że trza zabrać się do dzieła,
Że trza dach nad głową mieć,
Grosz w kalecie, zboże w gumnie,
A nie waśnić się i żreć
I warcholić nierozumnie.

Mamy piękny żyzny kraj
Naftę, sól i leśne zręby,
Mamy włożyć co do faj,
Mamy włożyć co do gęby.
Boże! gdyś był szczodrym tak
I rozrzutnym tak bez miary,
Czemuż nam rozumu brak,
By spożywać twoje dary?

Dużo słów, a żaden czyn,
Papierowe na łbie czako.
Na nic tu zwalanie win,
Wszyscy winniśmy jadnako.
Więc ze Skargą trzeba kłać!
To odwieczne zło w narodzie.
Mogliśmy się w górę piąć,
A jesteśmy wciąż na spodzie.

Przesilenie trwa jak mur,
Nikt już z nas nie widzi końca.
Czy choroba to, czy dur
Z lipcowego zrodzon słońca?
Zaogniony postów mózg,
Szerzy się kołowaczna,
Czyż nie znajdzie żadnych różg
Na dziateczki swe ojczyzna?!

Henryk Zbierzchowski.

Nowy zawód.

Któżby przypuszczał, że mój kolega z ławy szkolnej, którego wszyscy uważaliśmy za sześcienego bałwana, jest człowiekiem obdarzonym poprostu genialną pomysłowością. Alojzy Pęcakowski, tak brzmi jego nazwisko, został wyrzucony z piątej klasy gimnazjalnej za zupełne nieuctwo i tępy opór wobec jak najbardziej energicznych wysiłków całego ciała profesorskiego.

A jednak w jakiś czas potem, rzeczywistość wykazała, że ten mieszkaniec „oślej ławki“ przewyższa o wiele nas wszystkich, którzyśmy mieli wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wysunąć się na czoło społeczeństwa.

Rzuciło mi się to odrazu w oczy, kiedy spotkałem go niedawno na ulicy. Pomiedzy nami była wielka różnica optyczna.

Ja byłem ubrany w stare zimowe ubranie, podarte, czarne buty i zmieciowany, filcowy kapelusz. Pęcakowski natomiast miał nowiutkie, żółte pantofle najświeższego fasonu, świeżutki letni garnitur i najmodniejszy, słomiany kapedusz. Z jego pyzatej twarzy biło zadowolenie, sytość i zupełna pewność siebie.

Nic więc dziwnego, że przywitał mnie w sposób dość protekcjonalny i jakby z pewnem lekceważeniem podał mi dwa, mięsiste, licznymi pierścionkami ozdobione palce.

Skloniłem mu się z mimowolnym szacunkiem i zapytałem nieśmiało:

— Cóż porabiasz Pęcakowski?

Wydał pogardliwie usta i odparł niedbale:

— Ano żyje się, żyje się jakoś i żyć będzie się dalej...

Ten tajemniczy sposób, w jaki przemówił do mnie, podniecił całą moją ciekawość. Przejęło mnie niepowstrzymane pragnienie dowiedzenia się, w jaki to sposób żyć można w tak kwitnący, wspaniały sposób?

— Powiedz mi Pęcakowski, jak żyjesz, z czego żyjesz?

Wydał pogardliwie usta i zmierzył mnie nieufnym wzrokiem.

— O chciałbyś zaraz wiedzieć wszystko...

— Mój drogi, chciałbym się od ciebie czegoś nauczyć. Nie zapominaj, że w szkole byłem ci zawsze życzliwy. Odpisywałeś odemnie wszystkie zadania i kiedy tylko mogłem, podpowiadałem ci.

Machnął lekceważąco ręką.

— Nie na wiele się to przydało.

Po chwili jednak głos jego nabrał nieco cieplejszej barwy.

— Tak, to prawda, osładzałeś mi gorzkie chwile szkolnej mitręgi. Dobrze, powiem ci i odsłonię w zupeł-

ności swoją metodę życia, dzięki której jakoś się przez ten świat przepycham. Co więcej, pozwolę ci skorzystać z moich cennych doświadczeń.

Zatoczył tryumfującym spojrzeniem dokoła i zawołał z emfazą:

— Kolego! zrobię z ciebie człowieka — człowieka sytego, dobrze ubranego i zadowolonego.

Chwyciłem go kurczowo pod ramię i krzyknąłem:

— Jest to mojem najgorętszem pragnieniem!

Pęcakowski pociągnął mnie do pobliskiej cukierni i kiedy zasiedliśmy, zaczął mówić bez żadnych wstępów:

— Widzisz, mój system, podobnie, jak wszystkie genialne systemy, jest bardzo prosty i dla wszystkich dostępny. Zacząłem od tego, że posiadałem mieszkanie w Warszawie. Mieszkanie to zamieniłem na mieszkanie w Lwowie za odpowiednią dopłatą. Mieszkanie lwowskie zamieniłem na krakowskie, potem na poznańskie. Za każdym razem dopłacano mi odpowiednią sumę. W ten sam sposób przesiedliłem się podczas ostatniego roku z powrotem do Lwowa, potem trafił mi się pewien dymisjonowany minister, wracający z Warszawy do Lwowa itd., itd. Umiałem wyzyskać wszelkie przyprawy i odpływy, wszelkie zmiany nastrojów, prądy odśrodkowe i dośrodkowe. Tym sposobem dorobiłem się majątku, niezależnego bytu, zwiedziłem gruntownie wszystkie miasta polskie, nigdy się zbyt nie nateżając i nie studiując niczego więcej, jak ogłoszenia w rubryce: „mieszkania“.

— Pęcakowski! — zawołałem przejęty jego wywodami — jesteś istotnie genialny!

— A cóż ty robisz, czego ty dokonałeś kochany kolego!

Zmiażdżony jego przygniatającą powagą, odparłem nieśmiało:

— Uczylem się, studiowałem i doprowadziłem do tego, że zostałem mianowany prywatnym docentem archeologii.



Pęcakowski machnął lekceważąco ręką:

— Z tego nie wyżyjesz. Posłuchaj mojej rady, idź moim śladem. Ponieważ jesteś niedoświadczony, ułatwię ci na początek wszystko, a potem jakoś pójdziesz.

Zaczerwniełem się po same białka i wyjąkałem z trudnością.

— Kochany kolego!... niewątpliwie rady twoje cenne... doskonałe... skorzystałbym z nich niewątpliwie... gdyby nie miała... mała przeszkoda...

— Mianowicie? — zapytał grzmącym głosem.

— Trudność leży w tem... że... ja wogóle... nie mam mieszkania...

Pęcakowski śmiał się długo, pogardliwie....

Drzazga.

Jak Pon Jezus Pierdykowskiego ministrem zrobił.

(Bajka ludowa.)

Był se toki pon Pierdykowski, ni-jakie cłecysko, bidne bo bidne, ale zły nie był, bo mu na to rozumu nie stało. W jenteresach kiepsko mu się powodziło, bo tera ludzie odraz na miliony wszycko kalkulują, a on tak daleko w rachunkach nie doścignął, choć drukowane śwarno cytoł, a podpisać to się umiał z takim zawijasem, jakby psu ogon w dziesięciuro pokręciło.

Ano ten Pierdykowski idzie raz sobie do lasa i tak mędytuje, skąd kozy gnać, i ciągiem sie ino zegna krzyzem świętym, aby mu co dobrego do łba wpadło. Az tu patsy — idzie ku niemu Poniezus.

— Widze — mówi do niego — że Pana Boga chwalis, to mi ino powidz, cego kces, a wszycko ci zrobie.

Uciesyl sie Pierdykowski, a ze to w moc Poniezusową wiezył strasnie, więc powiada:

— Spraw, Poniezu, abym się ostał ministrem w Warsiawie.

Myśli Poniezus, myśli i pyta sie:

— Umis ty cytać i pisać?

— Juści!

— I rachować tyż?

— A ino.

Zmarkocił się Poniezus, ale mówi:

— A ja ci jednak poredzę. Kozik mos?

— Ni miółbyk? — i daje Paniezusowi kozik.

— Nachyl łeb — kaze mu Poniezus.

Pierdykowski się nachylił, Poniezus mu coś ta kozikiem pogmyroł i powiada:

— Idź-ze tera do Warsiawy, bo juz ci mózg ze łba wyjonem.

Br.



Nasi pomocnicy na Górnym Śląsku.



Przy zajmowaniu Górnego Śląska pomagały naszym wojskom treny „neutralnych”, którzy uprzętałi skrzętnie „zawadzające” towary niemieckie, „nienadające” się do oclenia.

Z Zakopanego.

— Pan zna już Halę Gąsienicową?
— Znam, byłem z nią dziś u Trzaski, ale nie wiedziałem, że jej Gąsienicowa na nazwisko...

*

— Pan dobrodziej chce pokoju? Sam?

— Nie, z żoną!
— A czy z własną?

*

Jak wiadomo, ściany domów zakopiańskich są cienkie jak papier.

— Jakie towarzystwo masz w „Bla-gierze”?

— Nie wiem, nie ruszyłem się do-tąd z swego pokoju, wiem tylko, że obok mieszka kaszłająca niewiasta z jedwabnem dessous, paląca dobre pa-pierosy i czytająca książki świeżo z księgarni, których kartki trzeba roz-cinać, a z drugiej strony niewiasta, u której stale siedzi jakiś jakaś, nie-mający cierpliwości do rozsznurowy-wania trzewików...

Na matchu footballowym.

Tłum zwartą gęstwą otacza boisko:
— Ręka! Ręka!
— Ale tu wśród publiczności, to

za „rękę” niema rzutu karnego — biada jakaś dama, naciskana przez miłośników sportu.

*

— Mężusiu, a czemu oni nie grają dwiema piłkami, nie wyrwaliby so-bie biedacy tej jednej...

*

Koło rosłej blondynki skupia się aż 4 sportsmenów i tłumaczą jej dobi-tnie „cornery”, „ff side’y” itd.

— Ależ panowie — nie 4:1! opo-nuje oblegana piękność!

*

— Pan Staś towarzyszy pannie Ma-ni. Mania każe i braciszкови też to-warzyszyć.

— Maniu, teraz będzie pan Staś grał „byka”, a ja będę bronił bramki...

*

— Pani narzeczony, panno Dziu-nio, specjalnie odbija głową!

— O — głowa, — to jego słaba strona...

C. i k. wspomnienia.

W lecie jednoroczni ochotnicy armji austro-węgierskiej odbywali zwykłą służbę w kompanjach.

Ekscelencja spotyka patrol, eskortu-jący dezertera. Komendant: jednorocz-ny ochotnik, kapral, nie daje się zblić z tropu i — ściśle wedle regulaminu — przechodząc obok ekscelencji, patrzy tylko na więźnia i nie saltuje jenerała.

Ekscelencja z uznaniem daje mu szóstaka.

— Exlenz, bitte gehorsamst, ich bin Einjährig - Freiwilliger, Gymnasial-Lehrer-Supplent in Zivil.

— Ach, so, armer Kerl! — i dał mu „guldena”.

*

Feldfeble mieli nakaz surowy zacho-wywać się wobec jednorocznych z ca-łą uprzejmością.

Pan feldfebel Kukaczka po nieudałym ćwiczeniu:

— Szlak by was jasny trafił dur-niów wszystkich — z wyjątkiem pa-nów jednorocznych!

— Nagła cholera żeby wydusiła wa-sze zatelepane matki prócz pań jedno-rocznych! Abtreten!



Dodatek „SZCZUTKA“

CENY OGŁOSZEŃ: Cała str. Mp. 60.000 — pół str. 30.000 — 1/4 str. 15.000 — 1/8 str. 7.500 — 1/16 str. 3.750

W sprawach Reklamy na „Targi Wschodnie“

Zwróćcie się do Agencji rekl. „**PODBÓJ**“ we Lwowie — ul. Zielona 34.



AUSTRO-DAIMLER



Smukłe i zgrabne, jak ciało dziewczycy,
W zawody idzie z burzą i wiatrami.
Siła cyklopa — szybkość błyskawicy,
To „Austro-Daimler“ — auto nad autami.

Zastępstwo we Lwowie prowadzi:

M. Gaweł

na razie Hotel George'a Nr. 72.

Echa genueskie.

W czasie konferencji genueskiej zjedli obiad w jednej z tamtejszych restauracji pp. Lloyd George, Briand, Schober i Cziczerein.

Przychodzi do płacenia. Lloyd George wyciąga z kieszeni sztukę złota, którą z wdzięcznym uśmiechem inkasuje płatniczy. Briand dobywa z portfela banknot 50 frankowy, powitany

przez kelnera obojętną miną. Schober z kolei wręcza mu jakiś papier. Płatniczy z zakłopotaniem ogląda ten dokument, nie rozumie znaczenia, a Schober wyjaśnia: „To fracht kolejowy na wagon z koronami austriackimi, który stoi na dworcu.“

Nakoniec Cziczerein wręcza płatniczemu duży pakiet i odrazu dodaje: „To są klisze na nasze ruble. Może sobie Pan ich nadrukować ile dusza zapragnie.“

Nowi bogacze.

W pewnym handlu delikatesów kupuje pani 10 deka kawioru.

Stojący w pobliżu Salo Salzstengel każe sobie odważyć „funt z tego towaru“.

Wychodząc równocześnie z tą panią ze sklepu — pyta grzecznie Salzstengel:

— Przepraszam panią za moją szmiałoszcz — ale może mi pani łaskawa powi, jak sze to gotuje. *s. f.*

Beznadziejne.

— Twój mąż nie chce ci sprawić nowej sukni to brzydko! Ale czy próbowałaś już zemdleć?

— Zemdleć głupstwo — leżałam już 2 godziny w letargu — i nic nie pomogło.

Olbrzymia zmiana.

— Ponieważ teraz lewica przyszła do rządu, nastąpi olbrzymia zmiana w urzędowaniu.

— ?

— Lojalni urzędnicy będą odtąd brali łapówki już nie prawicą lecz również lewicą... *Mar.*

Krew nie woda.

Onegdaj w bardzo miłym towarzystwie wzięłam udział wycieczce z Warszawy do Gdańska.

Przed samym wjazdem pociągu do Gdańska, jedna z pań naszego towarzystwa złapała pchłę (zdarzają się takie rzeczy w najporządniejszym towarzystwie). Oczywiście skazała ją na śmierć i natychmiast chciała wykonać wyrok, gdy jeden z panów zawołał:

— Proszę ją ułaskawić, wszak to rodaczka, w niej płynie polska krew! Pchła została wypuszczona na wolność... *Mar.*

Na wyścigach.

(Podśluchane).

— Panie Lopstein, patrz pan idzie panna Wohlgeruch, trzydzieści dwa miliony posagu!

— Uuj, jaka semycka twarz!

CHYBA!

— Ja sędzę, że nowy nasz gabinet będzie działał sprawnie i nie powtórzy błędów swych poprzedników.

— Chyba, że cały gabinet przetranslokują do Częstochowy, bo tam się tylko cuda dzieją. *AB.*

BIUROKRATA.

Djurnista Głodomorski powiesił się na strychu gmachu sądowego. W kieszeni denata znaleziono kartkę następującej treści:

„Użyty przezemnie sznur należy do fascykułu aktów Kuternoga, półka 6a.“

„COLUMBUS“.

Trzeszczą liny, sznury, belki
Dziś na wielkiej stoczni gdańskiej,
Zbudowali okręt wielki,
Symbol buty pangermańskiej.

Ale ugrzązł kolos nowy,
Były szumne, huczne mowy,
Jak to bywa w takiej porze,
No i ruszyć się nie może...

Dziś Germanja sapie gniewna,
Los jej codzień sprawia wnyki,
A ten „Kolumb“ — to rzecz pewna —
Nie zobaczy Ameryki! *JG.*

NIEPOTRZEBNA TROSKA.

— Poco się pan żeni, panie Kohn?

— Żeby moje nazwisko nie wygasło.



Piję twe zdrowie ulico...

Biorę cię w płuca mocny wicherze polotu — jedyna radości — śnie mój gwiezdny!

Ty — życiodajna siła wnikliwości chwil dzisiejszych — chaotyczny cwał powszednich, katarynkowych piosek — kapelo banalnych dni: — zarobków, targów, sprzedaży, profanacji, oszustwa, blagi — ulico!

Rozsypujesz codziennie rojowisko ludzkie na betonowe chodniki. W gimnastyczny tors wprowadzasz nogi, ręce — zakrzywione w szpony. Spłomienione energią brutalne oddechy owiewają kontuary sklepowe, magazyny mód, garkuchnie, biura. Wypychasz ciężki dyszący żar z przepelnionych kolejki, z wozów tramwajowych, z tajemniczych kątów dobrego trawienia i udoskonalonej mafii miłości na swoje szerokie przestrzenie oświetlonych placów, ogrodów. — Rozdajesz na gościnnej plaży twoje grzeczne uśmiešky — kwiatki, cichutkie drwiące kąciki ust — uprzejmość serc zatrutych — i sieczesz ciętym batogiem pokornych, zadumanych, zropaczonych i zamiętliwych biegunów po kładce wykołowania.

— O — ulico — abecadło dzieci — śpiewie nad trupem podróży bańkowej w krainę dobroci słońca!

— O — ulico — pierwszy chrzcie upodzeń! — Dziewko usługna, strojna błyszcząca — opięta w powaby sukien — nierządniczo wspaniała... — Kochanko psów bezdomnych i ludzi odartych z czci — błaznico nadworna małych, błyskotliwych rzeczy — pochodów sprzedanej prawdy! Ty — grzechu najboleśniejszych rozczarowań życia i stapań przyziemnych — matko nędzy i podłości! Ty — spacerowy hymnie wydekoltowanych niewiast — przeglądzie codzienny stroików, lakierów, szarf, taniej elegancji — gangreno gnijących gaz jodoformowych — zamaskowane, ściervo wiecznie zalotne — pozdrawiam cię!...

Wznoszę w górę pełen kielich drogocennego płynu twego życia — ulico...

Piję zdrowie zbrodniarzy, zdrowie nocy, zdrowie młodości, konającej na salach szpitalnych, zdrowie pierwszego występu uczucia w objęciach dziewczki kupnej, zdrowie kultury, zahypnotyzowanej tradycyjną śpiączką 606; — zdrowie istności bydlęcej i kształtowań swych górnych wzlotów w opasły brzuch obywatela — filantropa — mecenasu sztuki — obywatela-zdziercy różowych obłonek z ideałów i stylisty zaśniedziałej rutyny: nabożno-rozpustno-konserwatywnej...

Piję długo bez przerwy za wszyst-

kich ludzi, za wszystkich mieszkańców miasta, za tych co się uczą, za tych co złorzeczą, co pragną żyć — i za wszystkich kobiet leniwe, poranne kroczenie po uczcie wyuzdanych pieszczot i za te cicho-chutliwe rozmodlenie wzroku — za nowe całunki — nowe chwytaki rąk i omdlenia...

Piję mocno — bez przerwy.

Tęga upojność trunku zabalsamowała mi nerwy. Jestem tobą — ulico — twoim śmiechem — twoim mózgiem maszyn rozrodziej — twoją pracą — twoim krzykiem gonitwy za jutrem. Jestem twoim wylotem rogów kamienic, bijących luną światła, jak krwią gorejącą w sam wicher rozpędu fali życia; — twoim belkotem pijanych pogwarów — modlitwą o szczęście — elektrycznością prądów zmiennych — tych niespodziewanych błyskawic uświadomienia — tych nagłych oślepiających ciosów i pustką nocy twoich białych...

— O — ulico — dreszczu rozkoszy i zagubo dni weselnych!

— O — ulico — cmentarzu ukochania Boga i słońca!

Odwracam głowę. Nie widzę — nie pamiętam, a słyszę — rozumiem...

Padłaś mi pod nogi, ulico i w niewolniczym zgiętym pokłonie — falujesz modna, jaskrawa, płonąca.

„Gazeta Bankowa“

największe czasopismo ekonomiczne w kraju, wychodzi 10-go i 25-go każdego miesiąca. Cena zeszytu 300 Marek., prenumerata kwartalna 1800 Marek.

W przygotowaniu dwa wielkie numery wydać się mające z okazji II. Targów Wschodnich. Ogłoszenia we wszystkich językach przyjmuje Administracja „Gazety Bankowej“ we Lwowie, Zimorowicza 5. Tel. 581.

Po otrzymaniu 100 Mp. w gotówce lub znaczkach poczt., wysyła się egzemplarz okazowy.

Unoszę twoją kochaną głowę. Całuję twoje buntownicze oczy, badam ich wyraz — szukam serca — szukam twoich stąpań prostoty, twoich kształtów piękna — cichości bajki i pieszczot aksamitnych — twego rozradowania i marzeń dziecięcych i kwiatów zdrowia, pogody...

Oddechem alkoholicznym bluznęłaś mi w twarz... Zasypałaś deszczem papierków kolorowych krwawe ślady schodzonych nóg.

Na barkach twych zwinnych, gibkie zamajaczyły refleksy reklam — wzywających na swoje przedstawienie — na swe zwarjowane mijania, wynijania lotnych chwil. Niespokojna, niepokonana burzo — prosisz do tańca...

— O — ulico — modelko nowości wewnętrznego rozkładu! — Ty — monotonna manekinie intryg, podstepu — cuchnących pruderyjnych kształtów jurna reprezentacji! Ty perfidna szwaczko opiętych zadków — skoczko cyrkowna, zalewająca od rana do późnej nocy każdą piędź ziemi nastrojem, siłą tłumionej chuci...

— Piję twoje zdrowie...

Wznoszę w górę pełen kielich. Piję za wszystko twoje dobre, za twoje jarmarczne targi — za twoich małżeństw przepisy moralne — za każdy twój krok rycersko-świński — za pierwsze myśli dziecka — za wstyd dziewczęcych schorowanych ciał — za prostytutki rodzin i za mądrość inteligencji, złażdaczonej na twoim deptaku, ulicol!... Z. Lwicz.

Z DZIECINNEGO POKOJU.

Babcia (do wnuka): Czy tatuś nie wymyślał wczoraj na mnie i nie używał brzydkich wyrazów, jak teściowa.

Wnuczek: Nie, nie mówił nic podobnego. (Po chwili): A chciałabyś babciu, być tam, gdzie raki zimują?!!

W SĄDZIE.

— Oskarżony, jak mogłeś ukraść tak dużą sumę?

— Pan sędzia zdaje się nie bierze pod uwagę niskiego stanu naszej waluty!

TAKIE SOBIE HISTORYJKI.

Dwie eleganckie panie siedzą w przedziale pierwszej klasy. — Pociąg biegnie w kierunku Zakopanego i mija małą wioskę, leżącą w dolinie. — Wioska wydaje się zupełnie opustoszałą, tylko na drodze stoi nieruchomy jakiś mężczyzna.

— Patrz — mówi jedna z pań do towarzyszki podróży — jak ten poczciwy człeczyna zachwyca się malowniczą okolicą! — A poczciwy człeczyna myślał właśnie: — Co za przekłeta dziura, niema nawet kinematografu!

*

Panna Lala spotyka pana Kocia — (rzecz ma się w miejscu kąpielowym) i mówi:

— Panie Kociu, wczoraj poraz pierwszy wiosłowałam, ale to praca nie-lada! Niech pan zobaczy, jakie mam

odciski na rękach! — A pan Kocio kiwa głową i rzuca odniechęcenia: — O, ja to znam! — To pan też narobił sobie odcisków? Proszę pokazać! — woła panna Lala. Ale pan Kocio nagle żegna się i prędko odchodzi. Od kilku dni bowiem brał lekcje — konnej jazdy... JG.

INNE CZASY INNE... MEBLĘ.

Gdy się pobrała dawniej para młoda, Trza na kołyskę było jej pieniędzy, Dziś przy ożenku znacznie tańsza

[moda
I do Drobnera sunie się czempredzej...

O KOBIECIE I SŁOŃCU.

Kobieta jest jak słońce, uroda cię [oślepi,

Po pewnym jednak czasie, gdy [przyjrzyj się jej lepiej,

Zobaczysz najwyraźniej, wybaczenie [piękne damy,

Gdzie było całkiem jasno, niestety — [ciemne plamy...

SŁUŻBISTA.

Komisarz (do policjanta, który miał nocną służbę): — Czy coś wydarzyło się w nocy?

— Nie wiem, panie komisarzu, jeszcze nie czytałem dzienników. mg.

KOMPLEMENT.

Gdyby pani nie miała ramion, byłaby pani prawdziwą Wenus Miłońską.

Odpowiedzi wesołego niemego.

Zapytano raz niemego: gdzie można znaleźć dziś mieszkanie, ten zagwizdał: „*W parku, gdzie cień chłodny gości...*”

Na zapytanie: Kiedy będą lepsze czasy, zaświstał: „*W mogile ciemnej...*”

Jak długo radzić będą różne konferencje i ligi: „*Sto lat! Sto lat!...*”

Jak zapatruje się na expose Michalskiego: „*I ty mu wierzysz?*”

Co mówi czarna giełda na spadek waluty: „*Patrz Kościuszko na nas z nieba!*”

Co powie o reformie agrarnej: „*Wystawię se pański dwór...*”

Na pytanie kiedy będą porządki na lwowskich ulicach nie mógł dać zupełnie odpowiedzi. *Wil-Woj.*

Etykiety, sygnatury, dyplomy, akcje, papiery wartościowe, nuty, plakaty i wszelkie roboty w zakres litografii wchodzące wykonuje **pierwszorzędnie:**

Zakład artystyczno-litograficzny

A. HEGEDŰS

Lwów, ul. Bourlarda 3. (boczna Batorego).

Niezawodny znak.

— Jak to znać, że Urząd walki z lichwą i spekulacją wznowił swą działalność.

— Z czego wnosisz?

— Z tego, że wszystko na nowo drożeje...

Zamówienia

na wagonowe dostawy

Z B O Ź A

z nowej kampanji — przyjmuje

„Społem”

ZWIĄZKOWE TOWARZYSTWO HANDLOWE

Spółka z ogr. odpow.

Lwów — Trzeciego Maja 19.

Adres tel. „Społem” Lwów.

TELEFON Nr. 548.

== Oferty na żądanie wysyła się. ==

TYGODNIK

ILLUSTROWANY

Red. nacz.: Prof. R. WACEK.

„SPORT”

TYGODNIK

ILLUSTROWANY

Wyd.: SP. AKC. WYDAWN.

Każdy numer zawiera szereg aktualnych wiadomości z dziedzin sportu i ozdobiony jest nader pięknymi zdjęciami.

Bogaty dział korespondencji z większych miast Polski.
Kronika i rozmaiłości sportowe. — Dział szachowy.
Cena numeru 140 Mk. Prenumerata kwart. 1600 Mk.



Adres Wydawnictwa: Lwów, ul. Zimorowicza 5. —
Po otrzymaniu 150 Mk. w znaczkach pocztowych wysyłamy 4 okazowe numery „Sportu”



Tak obchodzono dzień wkroczenia wojsk naszych na Śląsk — w Katowicach



a tak w Berlinie.]



Nasze wejście na Górny Śląsk.

Powiedz mi, co czytasz...

Aby czytać wygodniej, Zizi zdejmuję gorset, buciki, suknie i ubiera się w szlafrok flanelkowy, jasny z koronkami, a na nóżki wkłada domowe pantofelki, haftowane srebrem. Siada na fotelu *Louis-Philippe* oparta o tyśiąc poduszek kolorowych, w cieniu lampy z abażurem tak ciemnym i niskim, iż możnaby sądzić, że to staroświecka lampa jaką można znaleźć gdzieś na strychu, w głuchych zakątkach prowincji.

Zizi czyta; noc jest cicha i salon pachnie lawendą; czarny pudel, świeżo ogolony drzemie u jej nóg. Oto stare portrety w ramach: poważni panowie, damy z łokciem prawym, wspartym o rękę lewą, z palcem wskazującym przy policzku. Oto fotografia wyblakła, koloru łupiny cebuli — była kiedyś zapewne dumą rodziny. Widać na niej małego chłopca, bardzo poważnego, który wpatrzony w fotografię, nie chce jednakże spuścić z oka swej czapki uczniowskiej, leżącej na książkach, nagrodach szkolnych.

Odzywa się dzwonek; zdaje się niemożliwością, by to był dźwięk elektryczny, a nie przestarzały dzwonek z rączką, który drży jeszcze chwilę potem, gdy ucichnie głos jego. Natychmiast twarz czytającej się zmienia, westchnienie podnosi jej pierś i szybkim ruchem odkręca kontakt dużej lampy. W tem świetle żywem, chociaż zawsze umiejętnie stosowanem, twarz jej wydaje się bardziej różowa, usta czerwieniejsze, powieki ciemniejsze... Mnóstwo drobiazgów i mebli, których

istnienia tu się nie spodziewało, ukazują się nagle: łóżko szerokie i niskie, zasypane poduszkami, z których jedna, największa, widocznie przypadkiem, upadła na dywan. Możnaby przysiąc, że zapach lawendy, ulotnił się nagle, a natomiast panuje intensywna woń przenikliwych perfum... Zapewne dlatego, że peniuar otworzył się nagle na pięknem łonie, przykrytem najcieńszymi batystem jedwabnym. Drzwi się otwierają: wychodzi mężczyzna, jakby żywcem wyjęty z ram portretów. Ale widząc, w jaki sposób zbliża się do pięknej gospodyni, łatwo pojąć, że nie węzły pokrewieństwa ich łączą. On mówi mało, ona uśmiecha się wiele. Najpierw kilka ruchów dyskretnych przerywanych śmiechem małej, niewinnej dziewczynki, bawiącej się w chowanego. Pudel nastawia uszy, potem układa się znów, świadomy i zrezygnowany. Potem, gry dziecięce, połajania macierzyńskie:

— O, niedobry, gałganie! Ty rozstrzępańcze brzydkil! Proszę się zbliżyć, tu, tu, bliżej, bym go ukarał...

Gość poważny zdaje się odczuwać wielkie zawstydzenie, a jednocześnie rozkoszować się przyjemnością najwyższą. Lampy gasną. Czy to pudel śni i dyszy, czy też panu tak jest gorąco?...

Oto znów światło. W blasku jego widać pana, który ociera czoło, panią, zapinającą szybko otwarty szlafrok, łóżko rozrzucone i pomięte. Głosy straciły ton przekomarzania; rozmowa toczy się o rzeczach ważnych i cyfrach: on dowodzi, ona szykanuje. Wreszcie następuje zgoda. Wybiła

godzina szósta. Gotowy do odejścia, zapięty na wszystkie guziki, równie poprawny i bez zarzutu, jak przyszedł, pan woła:

— Co u licha!... Gdzie moja obrączka ślubna!...

Szuka po kieszeniach, na dywanie, ruguje pudła z posłania; pani również wstaje, a błyszczący krągły przedmiot upada jej do nóg i toczy się pod łóżko. Ona podnosi go, przez chwilę z rozzerwaniem ogląda ten symbol wierności małżeńskiej, poczem podaje gościowi, który go wkłada jeszcze ciepły, na palec, uśmiecha się błogo i odchodzi.

Wówczas ona układa banknoty w szkatułce, zamyka ją, poprawia łóżko i poduszki rozrzucone, gasi kandelabry, zapala swoją lampę z abażurami, zasiada w fotelu *Louis Philippe* i powraca do swej lektury, w tem miejscu i na tym wierszu, gdzie ją zostawiła.

Czyta właśnie Weyssenhoffa: „Soból i Panna”.

Gdyż lektura powieści tego autora uczciwego daje jej iluzję cnotliwą przeszłości, której żałuje, oraz ukazuje horyzonty przyszłości pożądanej i do której dąży... innemi drogami.

Clo.

Oponent.

(Jeden z tysięcy apokryfów, przypisywanych M. Frenklowi.)

Pan Karol Przekąseczka, obywatel m. Warszawy jest już w tym stanie, który nogom własnym nie ufa się, a ludziom to już całkiem nic i odczuwa się potrzebę wyłapania swej doli w ramionach czyichś.

W młodszym wieku każe wieść się dorożce tam, gdzie się wie, ale pan Karol Przekąseczka był już za wiekowi na takie panie dzieju awanturki..

— Dorożka, na Powązki wieź mnie... hup... Wiesz, do mego — hup — przyjaciela...

Dorożka staje u wrót Powązek.

— Pani zarządcu... hup... gdzie tu leży mój przyjaciel... hup... no, nie zna go pan?

— Nie miałem przyjemności...

— Pan nie zna? Nazywam się Karol Przekąseczka, ...hup... obywatel m. Warszawy...

— Bardzo mi miło, ale jak nazywał się przyjaciel szan. pana?

— Za... zapomniałem, ...hup... ale pan go musiał zapamiętać sobie... z strzyżoną blond bródką... pamięta pan... niech pan pokaże, gdzie jego grób... wie pan, no — hup — tak, blondyn... z strzy... żo... ną... bród... ką — ooh... ooh...

— Nie wiem, panie.

— Nic? Skandal! To taka ta Polska! Tak... hup... ja porządny obywatel... Tak, do tego nas doprowadziła samowola... belwederska...

pi.

Kronika tygodniowa.

Banknoty po 10.000 marek. — Ciężkie mózgi. — Generał Iwaszkiewicz. — Wzór polskiego epitafium.

Już różnych uciech spotkało nas
[wiele
niejedne przez nie prześlśmy
[cierpiączki,
i dziś was miłą nowiną obdzielę:
w Warszawie robią dziesięcio-
[tysiączki,
abyś za jajko lub za kwartę żyta
jednym banknotem zapłacił i kwita.

A może jeszcze postąpimy więcej,
bo jak minister dobrze się rozbryka
to niezadługo marek sto tysięcy
będziemy nosić w dziurce od guzika.
Także dziewczątka tych pieniędzy
[troszkę
wygodnie sobie wetknie za
[pończoszkę.

Nie koniec na tem. Bo niech w tym
[sposobie
jeszcze się dalej kręci ten kotyljon,
to pan minister wyda rozkaz sobie,
by jeden świstek był tyle co miljon.
I źle ci będzie, jeżeli ty potem
za obiad bekniesz znów jednym
[banknotem?

Na tem już kończę ten modus
[kacapski
choć pewnie różne chciałyby
[niecnoty,
żeby Michalski albo inny Grabski
i miliardowe drukował banknoty.
No tak... Wam by się bardzo podobało
za jeden świstek kupić Polskę całą.

Jakiś uczony, który bez
[wytechnienia
nad coraz nowem odkryciem się poci,
wywiódł misternie, jako bez wątpienia
najcięższe mózgi mają idyjoci.
Ztąd ministrowie domowego chowu
Chodzą w Warszawie ze zwieszoną
[głową.

Donoszą także (dolorosa Mater,
to się nazywa rząd konstytucyjny!)
że Iwaszkiewicz, nasz wielki bohater,
leży w szpitalu niby Job biblijny.
Obrońca kresów, mistrz zwycięskiej
[klingi
zdany na składki, zbiórki i mityngi!

Mój generale! zamiast bolszewiki
grzmocić po karkach i mleć na otręby,
trza było jechać hen do Ameryki,
pluciem na Polskę szczerbić sobie
[zęby,
wtedy pochwalne słyszałbyś fanfary,
wielbiono by cię i miałbyś dolary.

Jak często w Polsce żyły
[wielkoludy,
którzy jej krwawy złożyli dorobek,

a którym zwykle za ich krew i trudy
możnaby taki postawić nagrobek:
Jakkolwiek umarł z niedoli i z głodu,
lecz był otoczony miłością Narodu!
St. Brandowski.

Z polityki.

— Podobno Lenin zwarjował?
— O to już dawno...
— ?
— Od chwili gdy zaprowadził rządy
obecne w Rosji!

Nasze paskarki.

Malarz. Portret pani będzie kosztował 200.000 mk.
Pani Nowobogacka. Dlaczego aż tyle?
Malarz. Czy pani wie, ile dziś farby olejne kosztują?
Pani Nowobogacka. Nie dał j jak w zeszłym tygodniu kazaliśmy wymalować kuchnię na klejowo — to znacznie taniej wypadła!

Autentyczny adres expres.

Wielmożna
Cywja Pelikan
w Płocku.
Proszę bardzo raptem!

Na ulicy.

— Może pan kupi psa?
— Kiedy nie rasowy...
— Nie rasowy?! Dziadek był mops, babka ratlerka, ojciec szpic a matka foxterierka. Patrz pan ile ras ten pies ma w sobie!
JG.

Także kradzież.

— Wiesz mój narzeczony jest tak nieśmiały, że musiałam rzucić mu się na szyję aby mi ukradł całusa!

Wytłumaczył.

— Czy słyszałeś, że największą trudnością przy tworzeniu nowego gabinetu jest obsadzenie teki Ministra Wojny?
— Dlaczego?
— Bo wszyscy niedokończeni technicy lwowscy zostali zajęci przy budowie II. Domu Techników we Lwowie.

Morskie kąpiele.

— Co ty powiesz do tego, Jojne, że ludzie jeżdżą tak daleko, żeby się w morzu wykapać?
— Jabym się tam nie kąpał, żeby nawet morze samo do mnie na Nalewki przyjechało!
AB.

Z czasów konferencji.

Podczas obrad w jednej z podkomisji konferencji genueńskiej — zwraca się L. George zjadliwie do jednego z młodszych członków delegacji polskiej, który wtrącił swą uwagę do prowadzonej dyskusji.
— Jest pan zbyt pewnym siebie.

Ja w pańskim wieku byłem jeszcze w takich sprawach głupi...
— O! to się ekscelecja doskonale zakonserwował — odpowiedział sprostowany.
Sław.

Aforyzmy angielskie.

Lloyd George nieobawia się losu Cromwella, który wprzód umarł a potem go powiesili!

Splendit isolation — mianowicie w lotrostwach.

Angielska flegma. — Bodaj ich zalała.

Łatwiej jest udawać Anglika, niż być naprawdę... Anglikiem.
Tylko Anglik (Milton) mógł powiedzieć, że lepiej rządzić w piekle niż służyć w niebie.

Zwalczali niewolnictwo a wnosili tyraństwo.

Darwin ujął swą teorię w zbyt szerokie ramy, zamiast je ograniczyć do swoich ziomeków tylko.

W Anglii lepszy łut pieprzu niż funt honoru.
Br.

Dąb i drwale.

(Dojlidowa gadka).
I lament wielki podnieśli wszyscy. Sosna, osika, buk i brzoza udali się do starego dębu, który wiekiem i wyniosłością konarów nad innemi górując, za najpoważniejszego był uznawany.
— Ratuj nas — wołają — bo oto grozi nam zupełna zagłada. W tej chwili właśnie widzieliśmy, jak wjeżdżała do lasu pełna fura świeżo wyostrzonych toporów. Z polerowanej stali błyskały wyraźnie znamiona zniszczenia.
— A naszych z nimi nie było? — zapytał dąb.
— Jakto naszych?
— Ano drzewców, obuchów, toporzysk, jak tam nazywacie.
— Nie widzieliśmy.
— A więc — rzekł dąb — śpijcie spokojnie, bo bez ich pomocy najharmtowniejsza stal nieda wam rady.



